BOGUSŁAWA RAFALSKA

ur. 1951; Wąwolnica

Miejsce i czas wydarzeń	Wąwolnica, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Wąwolnica, Łódź, II wojna światowa, okres powojenny, PRL, współczesność, państwo Polkowscy, dziecko żydowskie, podrzucenie dziecka, ukrywanie żydowskiego dziecka, matka, ojciec, Barbara Wrześniewska, odebranie dziecka żydowskiego, ciotka Basi, Jadwiga Kołodner, kontakty z Basią, rodzina Basi, wizyty Basi w Wąwolnicy

Historia ukrywania żydowskiej dziewczynki przez państwa Polkowskich

Zimą [19]43 roku rodzice byli w czasie świąt z wizytą u państwa Polkowskich, [którzy mieszkali] na kolonii przy Wąwolnicy od nazwiska nazwanej Polkowszczyzną. Był to okres świąt Bożego Narodzenia. Siedzieli przy stole, jedli kolację i nagle usłyszeli ujadanie psów. Wszyscy się przestraszyli, bo to okres wojny, nie wiadomo, kto idzie. Słychać było, że psy kogoś doprowadzają, następnie odprowadzają, było też słychać płacz dziecka. Pan domu poprosił kogoś ze służby – mieli służbę, tacy byli bogatsi rolnicy – żeby zobaczył, co się dzieje. Po chwili przynieśli dziecko zawinięte w łachmany, całe było we wrzodach, jeden wrzód na tym dziecku. To była noc, ani lekarza, [ani nic] – najbliższy lekarz pewnie w Nałęczowie. W Wąwolnicy była apteka prywatna, pan Janiszewski tę aptekę prowadził i mama następnego dnia poszła do tego aptekarza, zawierzyła mu i powiedziała, jaka sytuacja, i on jakie mógł leki, dał. No i tak to trwało dłuższy czas, to dziecko pomału, pomału [dochodziło do siebie]. Nie wiedzieli, ile ma lat, ale nie mogło samo siedzieć, natomiast jak podparli poduszkami, to to dziecko [siedziało], jak dali kawałeczek bułeczki, każdy okruszek samo zjadało – czyli już musiało mieć ponad rok. Basia została wyleczona, [później] mówiła, że odczuwała całe życie bóle w kościach. To był jeden strup na tym dziecku.
Chodziła z panią Polkowską do kościoła, rodziców moich odwiedzała. Jak wracali z kościoła, był krzyż w polu, Pan Jezus miał utrąconą rękę, więc ta Basia się zawsze zatrzymywała i tak do tej pani Polkowskiej [mówiła], że bardzo boli Jezuska, i kwiatki wkładała w to utrącone ramię. Ale dzieci służby zaczęły za tą Basią wołać „Żydura, Żydura!”, więc to dziecko pyta: –Co to znaczy, że tak na mnie wołają? – Bo jesteś nieochrzczona. – To ja chcę być ochrzczona – powiedziała. No, to już było po wojnie. Nie wiem, ile to trwało. Ochrzczona była we wrześniu [19]47 roku. Moja mama, Michalina Popiołek, była chrzestną, a chrzestnym był brat pana Polkowskiego, który

mieszkał po sąsiedzku. Pan Polkowski – nie wiem, czy się bał – nie chciał zapisać tego dziecka, wówczas to wszystko można było, mógł zapisać na siebie, ale nie chciał, bał się chyba, bo to jeszcze takie czasy były po wojnie zaraz. We wrześniu była chrzczona, ksiądz doradził, żeby zapisać Wrześniewska i takie nazwisko nadano. W akcie nawet jest podobno notatka, że to dziecko było znalezione. No i Basia się chowała u państwa Polkowskich. Już nie wiem dokładnie, który to był rok, tato mój był sekretarzem gminy w Wąwolnicy, mieszkali wówczas przy gminie, siedział na ławce i mówi do mamy mojej: – Basia jechała z jakimiś panami samochodem i machała mi rączką. Zdziwieni [byli] – Basia na Polkowszczyźnie samochodem? Za niecałą godzinę pani Polkowska z płaczem wpadła, że Basię jej zabrali. Jak się okazało, zbierali dzieci żydowskie, które zostały [po wojnie], z całej Polski – taki był punkt zbiorczy tych dzieci w Łodzi.
Basia po latach, może przy ostatniej wizycie, mówiła, że podrzucił ją jej ojciec i brat ojca, no bo z dzieckiem gdzie by uciekli? Ojciec niedługo zginął, ten stryjek zgłosił do Żegoty, że dziecko żydowskie zostało tu i tu. Ale jak ona była ochrzczona i zapisana „Wrześniewska", nie mógł trafić na jej [ślad] – bo on jej szukał zaraz po wojnie.
Pani Polkowska płacze, moja mama też płacze – Basia zabrana, nie ma Basi. Ale to tak Pan Bóg nad każdym [czuwa], nad tym żydowskim dzieckiem [też] – trzeba było trafu, że z Wąwolnicy pani Stanisława Wargocka, mojego chrzestnego żona, pojechała po coś do Lublina i spotkała ciotkę tej Basi, [która] też coś załatwiała, bo ona mieszkała w Łodzi. No i się zaczęły ściskać, bo one się chowały po sąsiedzku, przez miedzę. Dzieci – czy polskie, czy żydowskie – bawiły się razem. I ta [ciotka] płacze: „Czy ktoś żyje z mojej rodziny, czy coś wiesz?". Więc pani Wargocka mówi: „Dziecko po twoim bracie było tu i tu zostawione, ale dwa czy trzy dni temu wojskowi przyjechali, zabrali". A ona mówi: „Wiem, bo w Łodzi jest punkt zbiorczy, my będziemy starać się ją odszukać". Ale ona tego dziecka nie widziała, więc [nie wiedziała, jak wygląda]. Mąż jej pracował w UB i miał dojście. Szukali wśród tych dzieci tej Basi. I dzięki temu, że pani Polkowska, jak odbierali jej Basię, dała jej na pamiątkę zdjęcie od chrztu, ta ciotka doszła, że to to dziecko. Starali się, żeby im oddali – mimo że oni byli Żydami, nie chcieli oddać. Dopiero podobno przez Bieruta, przez rząd jakoś [załatwiali], że to dziecko wydali. I taka była w porządku ta Żydówka, że zaraz, jak tylko Basia u nich się znalazła, przez pośrednika żydowskiego – byli tacy pośrednicy, którzy sprzedawali place, domy po Żydach – dała do Wąwolnicy znać, że Basia jest tu i tu, podała adres, żeby dać znać pani Polkowskiej. Z rodzicami moimi mieszkała cioteczna siostra ojca, taka starsza już była i mama ją wysłała na Polkowszczyznę, powiedziała pani Polkowskiej. Pani Polkowska z płaczem zaraz przyszła, że jadą, następnego dnia pojechały do Łodzi, pod ten adres się zgłosiły – jakoś pociąg chyba w nocy jechał, że rano Basia jeszcze spała. No i tam rozmawiają, ta ciotka mówi, że ona tak starała się temu dziecku wynagrodzić, że jabłka, jakie tam mogła najładniejsze, kupowała – „Basiu, patrz, jakie ładne jabłuszko". Takimi jabłkami to za krowami rzucaliśmy na Polkowszczyźnie. – Basiu, jak ładnie ptaszek śpiewa.

Wszystko, co było najładniejsze, to było na tej Polkowszczyźnie, gdzie ona się chowała. Jak to dziecko się obudziło, to w pierwszej chwili wystraszyło się, potem schowało się pod łóżko – najpierw zabrana była przez tych wojskowych, następnie ta ciotka, nie znała przecież tej ciotki, i teraz znów pani Polkowska – ale jak ochłonęła i poznała, to jak się chwyciła potem za szyję, że trudno ją było oderwać, tak płakała. Tam goszczone były, mama z panią Polkowską i ta ciotka mówi tak: – Pani ma do niej większe prawa, bo dzięki pani ona żyje. Ale my w mieście mieszkamy – szkoła blisko, lepsze warunki. A na tej Polkowszczyźnie nie było nawet światła, bo to były dwa domki, dwóch gospodarzy, więc do Wąwolnicy do szkoły było też ileś kilometrów. I uzgodniły, że Basia będzie chodziła do szkoły w Łodzi, natomiast w wakacje będzie przyjeżdżała na Polkowszczyznę.
[Mama z panią Polkowską] najpierw płakały obie, że Basia zabrana, a później znów płakały, że Basia się znalazła i zaraz jechały [do Łodzi]. Ucieszone były przede wszystkim, uradowane, że Basia jest, że mogą ją widzieć. Poznały tę rodzinę, [uspokoiły się], że rodzina zajmie się Basią – materialnie zapewni jej jakiś tam [poziom życia], bo tutaj jakby była, toby dalej może prowadziła to gospodarstwo. Mądrze podeszły do tego te panie, bo to chyba one decydowały, że w mieście to jednak i szkoła, i dostęp [do wszystkiego], a tutaj światła nawet nie było.
Nie wiem, czy na każde wakacje, ale przyjeżdżała, nawet z koleżankami przyjeżdżała. Ja pamiętam, jak był pogrzeb pana Polkowskiego, ale to ja byłam małym dzieckiem – tak jak przez mgłę pamiętam – że ona była na tym pogrzebie. Następnie taka dłuższa była przerwa. Wiem, że mama z panią Polkowską jeździła do Łodzi – to opowiadał mi pan Kołodner, mama też opowiadała, że jeździły, każdego roku jeździły przynajmniej raz, a może i więcej, Basia je oprowadzała po wszystkich kościołach w Łodzi – Żydówka chowana w żydowskim domu. Zawsze jakiś teatr był i przyjmowane były bardzo [dobrze]. A Basia tutaj na wakacje przyjeżdżała, do Wąwolnicy. Pan Kołodner mówił, że jak przyjeżdżały moja mama i pani Polkowska, to zawsze przywoziły taki pyszny ser, masło, kury – co tam mogły – że on pamięta do dziś smak tego sera. Basia już poszła do średniej szkoły, była w maturalnej klasie, kiedy stryjek, który ją podrzucił, trafił na ślad. Dokładnie nie wiem, w każdym razie maturę ona zdała w Polsce. Pamiętam, jak przyjechała tu się żegnać. Ja miałam może siedem, osiem lat, odprowadzałam ją kawałek, bo my mieszkaliśmy przy gminie i tam wąwóz [prowadził] na tę Polkowszczyznę. Mama z panią Polkowską wyprawę dla niej naszykowały – poduchy, przecież [jechała] do Australii, ten stryjek mieszkał w Australii. Obiecywał jej złote góry i ona po maturze pojechała do tej Australii. To już wiem z ust Basi, że ten stryjek obiecywał, ale różnie to było. On tak jakby żądał od niej odpłaty za to, że on ją podrzucił, że ją uratował. I ona ile mogła, to tam mu pomagała, ale uciekła od niego. Wiem, że zaczęła się uczyć, później uczyła dzieci w szkole, czyli miała jakieś nauczycielskie [przygotowanie], nie wiem, czy studia. W tym czasie poznała swojego przyszłego męża, który był Anglikiem i przyjechał do rodziny. Poznali się w Australii i wróciła z nim do Anglii, mieszkali w

Manchesterze. On miał zakład naprawy samochodów, po ojcu chyba dostał, prowadził ten zakład. Tam też różnie im szło, ale trójkę dzieci Basia urodziła. Z tymi dziećmi – ja pamiętam małe takie – przyjeżdżali do Polski, odwiedzali nas zawsze. Pani Polkowska już później nie mieszkała tutaj, na Polkowszczyźnie, tylko u swojej siostrzenicy, koło Motycza – Marynin, Marysin coś takiego. Tam mieszkała. Zawsze jak Basia przyjechała, to odwiedzała i nas. Później jeden z synów – miała dwóch synów i córkę – ożenił się w Australii i osiadł tam, więc oni, jak już osiągnęli wiek emerytalny, przenieśli się do Australii. Z Australii dwa razy chyba przyjeżdżała jeszcze do Polski. Niedawno dowiedziałam się, że mąż jej zmarł w ubiegłym roku.
Ten stryjek, który ją podrzucił, długo żył, bo Basia raz odwiedziła nas z córką swoją, już mieszkała w Australii, i sfilmowała Wąwolnicę, żeby pokazać temu stryjowi, jak teraz wygląda. Ta córka w tej chwili mieszka w Japonii, jeden syn w Stanach i jeden w Australii. [Ten stryj] miał dziewięćdziesiąt chyba coś lat, jak zmarł. Pan Alek [Kołodner] mówił, że ten stryjek chciał Basię wydać za jakiegoś starego, bogatego Żyda i dlatego Basia uciekła, ale jaka [jest] prawda, to nie wiem, Basia tego nie mówiła, tylko mówiła, że chciał cały czas, żeby wdzięczność mu okazywała, żeby pracowała u niego. A ona chciała się uczyć, no i się wyrwała, uciekła od tego stryja.
[Jej historia nadaje się na] film – ona tyle przeżyła. To taki zbieg okoliczności, że ta pani Wargocka z tą ciotką się spotkała, bo przecież wywieziona by była do Izraela i koniec. Musiało być nazwisko [przy niej], bo jeśli wiedzieli, z których to Żydów, to musiała być [jakaś informacja] – ja się nigdy pani Polkowskiej nie zapytałam. Musiało być nazwisko podane, jeśli pani Wargocka spotkała tę ciotkę i powiedziała: „dziecko po twoim bracie [jest] tu i tu”.
Basia opowiadała, jak była ostatnio, że pamięta moment, kiedy przyjechali i ją zabrali z tej Polkowszyzny. Pani Polkowska prosiła, błagała, płakała, ale zabrali i koniec. Basia mówi, że pamięta, jak jechali z nią, jak machała rączką. Dojechali do Lublina, w Lublinie przenocowali. Wie, że spała na takich zsuniętych fotelach i tam o którejś rano do Łodzi zawieźli ją. Ona mówiła, że to pamięta, utkwiło jej to w pamięci. A później przeżywała, bo później ta ciotka zabrała ją, później znów pani Polkowska i to dziecko to tak już nie wiedziało, [co i jak]. Ale wszystko, co najładniejsze, to było na Polkowszczyźnie.
Jak był stan wojenny u nas, to ona przysyłała nam jakieś konserwy rybne, czy jakieś takie małe puszeczki, mydło, jakieś słodycze też. A jak miałam wychodzić za mąż, to na prezent ślubny dolarów mi przysłała, nie jakieś tam duże [kwoty], ale taką pamiątkę. Raz dostałam też dwa kupony materiału. Jak z tym mężem przyjeżdżała, też dostałam. On był bardzo dobrym człowiekiem. Nie umiał po polsku – tak „dzień dobry”, „dziękuję” – ale widać było, że bardzo dobry. Ona musiała mu tłumaczyć – jak przyjechali, rozmawialiśmy, zawsze jakiś poczęstunek był, obiad, on wszystko chciał wiedzieć, ona z nami rozmawiała i jemu tłumaczyła.
Może jak to by była dorosła osoba, toby tak nie postąpili, nie wiem, trudno powiedzieć. [Myślę, że kierowało nimi] współczucie, chęć udzielenia pomocy. Nie

wiem, czy tak samo by się zachowali w stosunku do dorosłej osoby, bo przecież ukrywało się dużo dorosłych osób i ludzie ryzykowali. W tym czasie już matka Basi podobno była rozstrzelana – koło Łubek gdzieś. Dobrze nie wiadomo gdzie – ten stryj wiedział pewnie, gdzie się ukrywali. Oni chwycili to dziecko, młodzi byli – jakoś im się udało uciec z tym dzieckiem, ale ile mogą z dzieckiem iść? I gdzie? Wiedzieli, że [jest dom] na uboczu, że tam tak ludzi nie ma, takiego kontaktu z ludźmi, i zostawili. Do lekarza gdzieś z nią [pani Polkowska] chodziła, no to pewnie przedstawiała jako swoje dziecko. Mamie mogła zaufać, bo to takie koleżanki [były]. Ojciec też musiał chyba [wiedzieć], nie sądzę, żeby miał na myśli w ogóle jakieś tam zdradzenie. Najwięcej to mama pomagała, pośredniczyła właśnie. Może ojciec z racji tego, że pracował, nie mógł tak się udzielać.
[Basia] utrzymała kontakt, ona pisała z Australii długie listy, naprawdę. W listach nic na temat [rozłączenia z rodziną Polkowskich] nie pisała, powiedziała, jak była, że pamięta moment tego zabrania – że ona tak płakała i że pani Polkowska płakała, że trzymały się tak oburącz splecione i ci oderwali [je od siebie]. Mówiła też, że dzieciom swoim przekazywała, że „ta pani uratowała życie waszej mamy”.

Data i miejsce nagrania	2019-01-18, Wąwolnica
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"